

Dekomunizatorzy

24 kwietnia 2016

Rządząca w Polsce partia najlepiej czuje się na froncie ideologicznym. Do tego stopnia, że sama sobie podstawia nogę w innych kwestiach. Tak właśnie stało się z programem 500+ , który miał być flagowym okrętem „dobrej zmiany” na polu społecznym, a w momencie uruchomienia został zepchnięty na dalszy plan przez pomysł zaostrożenia i tak już wyjątkowo restrykcyjnej ustawy antyaborcyjnej. Wygląda na to, że u członków PiS pragnienie wojny ideologicznej jest silniejsze niż instynkt samozachowawczy.

Nie zmienia to faktu, że większość rządowych pomysłów w tej sferze nie jest zbyt oryginalna. Prawicowy rząd jedynie twórczo podąża w kierunku wyznaczonym przez swoich poprzedników z Unii Demokratycznej, Sojuszu Lewicy Demokratycznej czy Platformy Obywatelskiej. Strategiczne decyzje podjęto w ciągu dwóch minionych dekad.

Weźmy choćby ustawę o dekomunizacji ulic polskich miast. Nakazuje ona władzom lokalnym usunięcie wszelkich symboli, które kojarzą się z komunizmem działaczom partii rządzącej. To oni bowiem przygotowują listy szyldów do odstrzału, kierując się przy tym własnym widzimisię. Na pierwszy ogień pójdzie zapewne warszawska ulica Dąbrowszczaków od lat będąca solą w oku radnych PiS. Przy okazji słusznego oburzenia tym pomysłem musimy jednak pamiętać, że wymazywanie historii polskich ochotników walczących w obronie republiki podczas hiszpańskiej wojny domowej trwa od dobrych dwóch dekad. Pod tym względem III RP zdecydowanie dystansuje jej poronioną następczynię. W latach 90. prawicowi i liberalni publicyści, a także politycy, powszechnie gloryfikowali reżim Franco (np. na łamach Gazety Wyborczej). Pierwsi za całokształt, drudzy za rzekome sukcesy we wprowadzaniu „koniecznych reform rynkowych” porównywanych ze stawianą wtedy w Polsce za wzór polityką chilijskiego dyktatora Augusto Pinocheta. Na tak przygotowanym gruncie, w

2007 r. nielicznym żyjącym jeszcze Dąbrowszczakom próbowano odebrać prawa kombatanckie, a potem wymazano nazwy miejsc bitew, w których uczestniczyli z tablic na Grobie Nieznanego Żołnierza. Tak pamięć o ludziach, którzy jako pierwsi stawili czoła faszyzmowi w czasie, gdy sanacyjne władze II Rzeczypospolitej ochoczo ku niemu zmierzały zniknęła ze zbiorowej świadomości w Polsce.

Podobnie ma się sprawa z pomysłem masowego usuwania pomników żołnierzy radzieckich. PiS chce po prostu szybko dokończyć dzieło zapoczątkowane przez jego poprzedników, zasadniczo zgadzających się przecież z partią Jarosława Kaczyńskiego, że w latach 1944-1945 żadnego wyzwolenia nie było, a jeden okupant ustąpił drugiemu, niemniej groźnemu. Co bardzo symptomatyczne, w tej kwestii nie protestowały nawet środowiska żydowskie i badacze Holocaustu pogodzeni z postępującą etnicyzacją historii Polski, włączającą z niej doświadczenie wszelkich mniejszości. Tendencja do opisywania historii z klucza etnicznego jest skądinąd równie, a może i bardziej, groźna niż likwidowanie niesłusznych pomników. Podzielana zarówno przez konserwatystów, liberałów i część lewicy prowadzi do sytuacji, w której Zagłada nie dotyczy już nas, ale ich (obcych, innych). Nasze jest Powstanie Warszawskie, ale już nie Powstanie w Getcie. Muzeum Powstania Warszawskiego i Muzeum Historii Żydów Polskich instytucjonalizują wizję historii jako opowieści partykularnej wspólnoty etniczno-kulturowej. Być może to największy prezent, jaki dominujący nurt publicystyki i historiografii ofiarował polskim nacjonalistom. Nie muszą robić historycznej czystki etnicznej oddzielając narodowe ziarno od niepolskich plew – zrobił to za nich ktoś inny. Ten sam, który w imię narodowej zgody włączył carskiego kolaboranta i antysemitę Romana Dmowskiego do niepodległościowego panteonu i pozwolił na odesłanie w niepamięć postaci Gabriela Narutowicza (jego narodowa zgoda automatycznie wyklucza).

Nawet tak sztandarowy pomysł prezydenta Dudy jak obrona

dobrego imienia Polski nie jest niczym nowym. Wybielanie historii, zamykanie trudnych spraw pod dywan albo po prostu ich przemilczanie trwa od ćwierć wieku. Z jednej strony mamy kilka ważnych gestów polityków oraz niszowe badania specjalistów odsłaniających ciemne strony historii polskiego antysemityzmu czy, w mniejszym stopniu, kolonizacji Ukrainy. Z drugiej – bezmyślną apologetykę historyczną produkowaną za publiczne pieniądze na masową skalę. Antytezą krytycznego i rzetelnego podejścia do historii jest oczywiście działalność Instytutu Pamięci Narodowej, któremu na rządów SLD i PO „włos z głowy nie spadł”. Histeryczne reakcje na powtarzające się w mediach światowych sformułowanie „polskie obozy śmierci”, które odnosi się do ich usytuowania geograficznego, a nie wskazuje na sprawców Zagłady, nie zaczęły się po październikowych wyborach 2015 r. Dziś natomiast przechodzą w kampanie nienawiści wobec historyków nie wykazujących pokory wobec bogoojczyźnianych bajek o Polakach jako narodzie niewinnych bohaterów padających ofiarą złych sąsiadów, spisków mniejszości i niewdzięczności całego świata. W praktyce obrona dobrego imienia okazuje się próbą knebłowania prawdy i rehabilitacji szmalcowników, pogromszczyków i oprawców.

Co ciekawe, elementy zerwania z dotychczas dominującą wizją historii najnowszej widać w kulcie żołnierzy wyklętych. Otóż wydaje się, że apologia powojennej wojny domowej wypiera kult Solidarności. Nieprzypadkowo. W gruncie rzeczy uderza w spadkobierców demokratycznej opozycji z PRL. Żołnierze wyklęci mogą być młotem na bohaterów Października 1956, marca 1968, KOR-u i pierwszej Solidarności, którzy przecież nie zostali w lesie. A to właśnie im wyznawcy wyklętych przypinają dziś łatkę zdrajców.

Po co o tym wszystkim pisać? Nie chodzi o to, by zacierać różnice między rządami PO, SLD czy AWS a obecną władzą, ale o to, żeby zdać sobie sprawę, że nie ma powrotu do przeszłości. Jeżeli naprawdę chcemy wyjść z „dobrej zmiany” musimy tę przeszłość odrzucić równie radykalnie jak pomysły

dekomunizatorów z PiS.

Autorstwo: Przemysław Wielgosz

Źródło: Monde-Diplomatique.pl